

Wystraszyliśmy całe towarzystwo

Z Jerzym Marią Nowakiem, byłym pełnomocnikiem rządu do spraw Układu Warszawskiego, rozmawia Bartosz Cichocki

BARTOSZ CICHOCKI: Rok 2014 jest rokiem polskich jubileuszy: obchodzimy dwudziestą piątą rocznicę wyborów do Sejmu kontraktowego, piętnastą wejścia do NATO oraz dziesiątą wstąpienia do Unii Europejskiej. Panie ambasadorze, cofnijmy się o ćwierćwiecze.

JERZY MARIA NOWAK: Pod koniec 1988 roku zostałem dyrektorem Departamentu Studiów i Programowania (DSiP) w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wówczas nasza komórka zajmowała się między innymi prowadzeniem polityki bezpieczeństwa – jedynie niektóre kwestie związane ze Związkiem Radzieckim i Układem Warszawskim należały do kompetencji istniejącego jeszcze Departamentu ZSRR.

DSiP skupiał wtedy ludzi zaangażowanych w proces helsiński: nie tylko w dwuletnie obrady w Genewie i Helsinkach w latach 1973-1975, ale również we wszystkie kolejne, liczne spotkania w ramach polityki następstw Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Zmuszały nas one do zastanowienia się nad znaczeniem dziesięciu helsińskich zasad stosunków międzynarodowych, wśród których były suwerenność, niezależność, nieingerowanie w sprawy wewnętrzne czy prawa

człowieka jako niepodlegające tej ostatniej zasadzie. Budowaliśmy wówczas podstawy układu, który został ostatecznie zaakceptowany po 1989 roku i który podważył, anektując Krym, dopiero Władimir Putin.

Proces helsiński był głównym źródłem refleksji liberalnej części polskiego MSZ. Myśmy nie tworzyli zorganizowanej grupy, to byłoby zbyt niebezpieczne. Myśmy byli konformistami. Chcieliśmy zmian, ale w ramach istniejącego systemu – nie obalając go. To, co robiliśmy, mogło potem posłużyć do demontażu systemu, ale myśmy sobie tego wówczas nie wyobrażali.

Na forach międzynarodowych dyskutowaliście o prawach człowieka, ale w centrali obowiązywał gorset ideologiczny?

Sprawujący w latach 1985-1988 funkcję ministra spraw zagranicznych Marian Orzechowski miał jeszcze mentalność ideologa, tyle że bez tendencji „krwiożerczych”. Nie starał się usuwać „nieprawomyślnych”, ale również ich nie bronił. Jego następcą Tadeusz Olechowski przez niespełna rok do objęcia stanowiska przez Krzysztofa Skubiszewskiego prezentował się jako aideologiczny urzędnik, na co wcześniej krzywo patrzono. Świadomie

nie używam pojęcia „antyideologiczny” – wówczas wciąż nie było to możliwe.

Na niższym szczeblu w MSZ ujawniały się wewnętrzne tarcia. W Departamencie Zachodniej Europy urzędnicy skupieni wokół problemu granicy zachodniej – nastawieni radykalnie antyniemiecko – poszukiwali wsparcia radzieckiego, w tym militarnego, przeciwko RFN. Blisko nich sytuował się Departament ZSRR – instrument satelickiego uzależniania nas od Kremla. Dyrektorzy tej komórki mówili: „Cała nasza polityka zagraniczna powinna być podporządkowana stosunkom z Moskwą”. Oni starali się być recenzentami DSiP, w którym widzieli „ośrodek rewizjonizmu”, ulegający teoriom zachodnim. Jedną z nich była koncepcja „konwergencji”, a więc – straszna rzecz – zbliżenia z Zachodem!

Ku rozpaczcy pańskich konserwatywnych kolegów ton w stosunkach z Zachodem zmienił sam Kreml.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie wizyta w Moskwie ministra Mariana Orzechowskiego – to był rok 1987 albo 1988. Zachowywał się jak satelita, nazbyt przymilnie. Chciał zademonstrować swój sprzeciw wobec rewizjonizmu, zwłaszcza niemieckiego, licząc jednocześnie na pozyskanie radzieckiego poparcia. Głos zabrał wówczas szef dyplomacji ZSRR Eduard Szewardnadze. Nagle ten Gruzin – bez zawodowego przygotowania dyplomatycznego i doświadczenia w zakresie polityki zagranicznej – wygłosił myśli, które były nowoczesne, mówił

o potrzebie zmian nie tylko wewnętrznych (głośność), ale również o konieczności pogłębienia dialogu z „zachodnimi partnerami”. Szewardnadze używał już innego słownictwa niż Orzechowski, który ciągle mówił: „przeciwnicy”, „wrogowie”. Radziecka analiza sytuacji była wolna od ideologii – zupełnie inaczej niż w Polsce.

Dużo było takich głosów po stronie radzieckiej?

Im wyższy był tam szczebel urzędniczy, tym więcej zachęt otrzymywaliśmy, by samodzielnie myśleć. Bardzo dobrze wspominam na przykład wiceministra spraw zagranicznych ZSRR Lwa Mendelewicza, który początkowo zajmował stanowisko radziecko-imperialne, ale z czasem stał się entuzjastą pierestrojki, animatorem otwartych dyskusji w ramach Wielostronnej Grupy Wzajemnej Informacji Bieżącej Układu Warszawskiego. Przypominam sobie jedno z posiedzeń tego organu 1 lutego 1989 roku w Pradze. Po skończonych rozmowach usiadłem podczas lunchu naprzeciwko Mendelewicza. Tydzień później w Warszawie miały rozpocząć się obrady Okrągłego Stołu, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, jak wszystko się potoczy. On zaczyna: „Towarzyszu ambasadorze, ja tu mam do was pytanie – rozmawiamy szczerze – jaka jest przyszłość Wałęsy?”. Udzieliłem ostrożnej odpowiedzi, że to człowiek, który wejdzie do polityki, ale nie wiem, czy poprzestanie na funkcji w związkach zawodowych. Rosjanin się zadumał i mówi: „Wiecie co, towarzyszu Nowak? Powiem szczerze – Wałęsa prędzej

czy później zostanie prezydentem Polski”. Wszyscy „bratni” ambasadorowie zamarli. Dla mnie to była wskazówka, że na Kremlu zaczynają się na ten temat rozmowy i my możemy iść w takim razie jeszcze dalej.

Niedługo później do resortu trafia Krzysztof Skubiszewski, który 12 września 1989 roku staje na jego czele.

Przyszedł do nas w dramatycznym momencie: polska gospodarka była w fatalnym stanie, mieliśmy nieuregulowany problem niemiecki, Układ Warszawski wciąż istniał, a wojska radzieckie stacjonowały na naszym terytorium. Dla pierwszego niekomunistycznego szefa dyplomacji rozwiązanie Układu miało pomóc w wycofaniu wojsk radzieckich z Polski – siły te podlegały przecież kierownictwu organizacji.

Skubiszewski wybrał do wykonania tego zadania osoby z odchodzącego systemu (bliżej mu nieznane) oraz ze środowisk opozycyjnych (niezorientowane w sztuce dyplomatycznej i urzędniczej). Minister powiedział kiedyś przy mnie, choć nie do mnie: „Są tu ludzie z poprzedniego ustroju, na przykład Nowak. Tyle narobili, więc skoro są tacy mądrzy, niech teraz to wszystko wyciągają. Ja nimi pokieruję”.

Jak reagował region?

Nagle okazało się, że Polska znalazła się w jednym szeregu z Rosjanami – na nich do tej pory najbardziej musieliśmy uważać – przeciwko „betonowi” z NRD i Bułgarii. Rumuni byli specyficzni, Rosjanie myśleli: Niech gadają swoje, a my i tak zrobimy

po swojemu. W węgierskim MSZ bardzo powoli rodziły się nastroje podobne do polskich.

A Czechosłowacy?

Byli zachowawczy, nie chcieli się w nic mieszać: ciągle wystraszeni po 1968 roku, dyplomacja czechosłowacka została wtedy przepędzona na cztery wiatry. Musieli pójść do pracy w magazynach, fabrykach, wyjechać na wieś, a na ich miejsce przyjęto najgorsze elementy drugiej, trzeciej klasy prowincjonalnych działaczy partyjnych bez znajomości języków. Sami dawali nam do zrozumienia, że właściwie nie muszą prowadzić polityki zagranicznej. Byłem świadkiem, jak dyrektor Instytutu Spraw Międzynarodowych w Pradze – pomińmy jego nazwisko, bo wciąż żyje – w rozmowie z Rosjanami powiedział: „Jeśli wy sądzicie, że u nas w Czechach wszyscy kochają Związek Radziecki, mylicie się. Wszyscy się boją, nikt nie pisnie słowa. Szczerze mówiąc, jestem jedyny, który kocha Związek Radziecki”.

W którym momencie pańscy zachodni odpowiednicy zrozumieli, że możliwe jest życie po Układzie Warszawskim?

Późno. Długo uważali nas za funkcjonariuszy ideologicznych i partyjnych i bardzo powoli odkrywali w nas ludzi. W 1972 roku w Helsinkach dyplomaci NATO otrzymali zakaz bratania się z dyplomatami państw Układu Warszawskiego. W rezultacie pierwsze kontakty nawiązaliśmy z Hiszpanami (do Sojuszu dołączyli dopiero w 1982 roku), neutralnymi Austriakami,

Finami czy Szwedami. Mur w relacjach z NATO pękał powolutku. Później okazało się jednak, że mam kolegów także wśród Amerykanów. Oni szukali ludzi myślących, zapraszali na seminaria, dawali do zrozumienia, że w razie czego są gotowi pomóc. Po ogłoszeniu stanu wojennego dostałem propozycję udzielenia schronienia od razu od trzech znajomych.

A jak odnosili się do późniejszych zmian w Polsce?

Charakterystyczne było to, że gdy w Polsce doszło do przełomowych wydarzeń 1989 roku, oni wszyscy wystraszyli się, że Moskwa szybko zdusi reformy. Sądziła, że blok wschodni jest trwalszy, niż był w rzeczywistości, i – szczerze mówiąc – my też tak uważaliśmy.

Poza tym obawiali się, że będziemy chcieli wstąpić do NATO, zerwać ze ZSRR, rozwalić Układ Warszawski. Jako dyrektor DSiP przyjmowałem całe procesje zachodnich delegacji. Wszyscy powtarzali: Bądźcie ostrożni, nie pozwólcie obalić Michaiła Gorbaczowa, nie niszczyć Układu Warszawskiego. Demokratyzujcie system, ale ktoś musi odpowiadać za porządek w tej części świata, do NATO i tak nie przystąpicie. Dbajcie o stabilizację. Stabilizacja była dla nich najważniejsza – istotniejsza niż nasza suwerenność, prawa człowieka. Wystraszone towarzystwo.

„Sojusz” militarny wciąż wówczas trwał.

W listopadzie 1989 roku minister Skubiszewski wzywa mnie: samodzielnie

pisze na starej maszynie nominację, podpisuje, chowa dla siebie kopię, a oryginał wręcza mi. Czytam, że mianuje mnie pełnomocnikiem i przedstawicielem rządu do spraw Układu Warszawskiego (do czego chyba nie miał uprawnień). Minister pyta mnie, czy rozumiem, co to znaczy. Mówię: „Rozumieć, rozumiem, ale nie jestem pewien, czy to realistyczne. W Układzie Warszawskim nie ma takiej funkcji”. „To ja wiem – odpowiada Skubiszewski – ale widzę, że pan nie rozumie. Chodzi mi o to, żeby pan nie tylko czuł się przedstawicielem, ale również osobą upoważnioną do rozwiązania wszystkiego w jak najkrótszym czasie – do mądrego i stopniowego, ale rozwiązania”. Krótko mówiąc, zostałem mianowany likwidatorem Układu Warszawskiego.

W pierwszym półroczu 1990 roku trwała jeszcze burzliwa dyskusja, czy i jak zreformować Układ Warszawski.

Koncentrowała się ona wtedy wokół radzieckiej propozycji zmiany paktu na wzór NATO: chciano powołać sekretarza generalnego (niekoniecznie Rosjanina), stworzyć stały sekretariat, wybrać naczelnego dowódcę (w tym przypadku ze względu na największy wkład wojskowy ZSRR musiałby nim być przedstawiciel tego państwa). Moskwa robiła wiele, by dać „sojusznikom” poczucie podmiotowości.

Kiedy doszło do zasadniczej zmiany w wewnętrznej debacie o przyszłości Układu Warszawskiego?

W drugim półroczu 1990 roku – wówczas już otwarcie mówiono, że celem jest nie zmiana charakteru organizacji, a jej rozwiązanie. Minister Skubiszewski instruował mnie, żeby koniecznie nie wywołać wrażenia otwartego sprzeciwu, a radzieckie propozycje reform utrać dyskretnie – w trakcie dyskusji. Zależało mu bowiem, by Moskwa także akceptowała decyzje prowadzące do likwidacji Układu Warszawskiego. Na tym polegał konflikt Skubiszewskiego ze stroną węgierską, która chciała jednostronnie opuścić Układ Warszawski.

Na naszym terytorium wciąż stacjonowały wówczas wojska radzieckie.

Tak, Skubiszewski życzył sobie współpracy z Rosją, ale przy poszanowaniu polskiej suwerenności. Dlatego odrzuciliśmy później rosyjską propozycję nowego charakteru stosunków – wzajemnie zabezpieczających się gwarancji bezpieczeństwa. Zgodnie z tą koncepcją wszystkie państwa, ze Związkiem Radzieckim włącznie, miałyby zawrzeć ze sobą jednobrzmiące traktaty. Stanowiły one, że sygnatariusze nie będą zawierali porozumień naruszających bezpieczeństwo poszczególnych umawiających się stron. Chodziło między innymi o niedopuszczenie do powstania baz i instalacji wojskowych na swoim terytorium, które mogłyby zostać uznane za zagrażające sojusznikom oraz o wprowadzenie zasady obowiązkowych konsultacji na wniosek jednej ze stron. Była to w jakimś stopniu realizacja doktryny Falina-Kwicińskiego o tak zwanej pełzającej finlandyzacji krajów Europy Środkowej

i Wschodniej. Minister Skubiszewski od razu przejrzał tę grę i uprzejmie, ale stanowczo odrzucił.

Wiosną 1991 roku na ministerialnym posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego w Budapeszcie Układ został rozwiązany.

Oficjalny komunikat wydano 1 kwietnia, ale Czesi złapali się za głowę: „O Jezus Maria! Ten dzień – będzie się kojarzyć!” I *post factum* datę „cofnięto” o jeden dzień. 1 lipca 1991 roku w Pradze odbył się jeszcze oficjalny „pogrzeb” organizacji na szczęblu głów państw.

Ministrowi Skubiszewskiemu zarzucono hamowanie rozwiązania Układu Warszawskiego, co miało być efektem zgody rządu Tadeusza Mazowieckiego na radziecką propozycję specjalnych stosunków w sferze bezpieczeństwa.

Minister Skubiszewski obawiał się kontrrewolucji w ZSRR, na horyzoncie rysował się też problem niemiecki. Skonfrontowany z Warszawą Kreml nie byłby skłonny poprzeć naszych starań o potwierdzenie granicy z Niemcami na Odrze i Nysie Łużyckiej. Wprawdzie NRD zaakceptowała ją, a RFN przyrzekła, że nie będzie jej kwestionować, ale w konstytucji tej ostatniej tkwił zapis, iż dopiero zjednoczone Niemcy będą mogły granicę zatwierdzić. I tego strona niemiecka się kurczowo trzymała. W Polsce silne było przeświadczenie, że Niemcy mogą granicę z 1945 roku podważyć.

Niemieccy dyplomaci chcieli w tym czasie wypracować bezkonfliktowy model

współpracy z Moskwą. Pamiętam, kiedy jesienią 1989 roku zostałem zaproszony na spotkanie z komisją spraw zagranicznych Bundestagu w Kolonii. Organizował je socjaldemokrata Egon Bahr. Powiedziałem tam, że naszym celem jest pełna integracja ze strukturami zachodnimi, w tym z NATO (Skubiszewski wtedy jeszcze nie szedł tak daleko w publicznych wystąpieniach, ale mnie upoważnił do zajęcia takiego stanowiska). Bahr przerwał mi natychmiast: „Ale razem ze Związkiem Radzieckim!”

Co Pan odpowiedział?

Odparłem: „Nie. Związek Radziecki jest odrębnym światem, z odrębnymi

zobowiązaniami”. Egon Bahr wygłosił wtedy przy licznie zgromadzonej publiczności filipikę o naszym prowincjonalnym myśleniu, antyrosyjskości itd.

Osiągnięciem Skubiszewskiego było dołączenie Polski do toczących się w 1990 roku rozmów 2+4 w Bonn, Berlinie, Paryżu i Moskwie o zjednoczeniu Niemiec. Wcześniej mocarstwa nie brały pod uwagę regulacji kwestii granicy polsko-niemieckiej. Niejasne stanowisko zajmował tu Helmut Kohl. Jesienią 1990 roku traktat został podpisany i, Bogu dzięki, w momencie wybuchu puczu Giennadija Janajewa w sierpniu 1991 roku wszystkie te sprawy mieliśmy załatwione. 🏰

Jerzy Maria Nowak jest emerytowanym dyplomatą, w ciągu pięćdziesięciu lat kariery zawodowej (1960-2010) był między innymi pełnomocnikiem rządu do spraw Układu Warszawskiego, dyrektorem departamentów MSZ odpowiedzialnych za politykę bezpieczeństwa międzynarodowego, ambasadorem RP przy organizacjach międzynarodowych (1991-1997), w Madrycie (2000-2002) oraz przy NATO (2002-2007). Autor kilkudziesięciu prac z zakresu stosunków międzynarodowych. Niedawno ukazały się jego wspomnienia *Dyplomata na salonach i w politycznej kuchni* (Bellona, Warszawa 2014).